



Lech Babiński (1886-1967)

# Nadleśniczy LECH BABIŃSKI

(1886-1967) i jego synowie



ój ojciec, Lech Babiński, urodził się we Włocławku w 1886 roku. Był synem farmaceuty, mój dziadek Antoni miał aptekę we Włocławku. Jego powinowatym był słynny neurolog Józef Babiński, który żył i pracował w Paryżu. Ojciec miał jeszcze czterech braci. Kończył Akademię Leśną w Tarandcie (Tharandt koło Drezna w Saksonii).

Był dwa lata młodszy od Adama Loreta, pierwszego dyrektora naczelnego Lasów Państwowych. Znali się ze studiów i chyba nawet w tym samym 1911 roku kończyli Akademię Leśną. Innym jego kolegą ze studiów był Albert Górski, późniejszy dyrektor Lasów Państwowych w Gorzowie.

Ojciec studiował jeszcze później w Petersburgu, a po ich ukończeniu pracował jakiś czas koło Odessy, budował szlaki kolejowe i mosty. Później przeszedł do pracy w leśnictwie, najpierw w dobrach Bużańsko-Olchowickich hr. Adama Potockiego i na terenie dzisiejszej Litwy w pobliżu Druskiennik, następnie został nadleśniczym koło Ostrołęki. W mojej rodzinie było kilku leśników, m.in. ze strony matki – Gałęcki i mój stryj Koczorowski.

Ojciec zawsze chciał wrócić w rodzinne strony, zrealizował to około 1920 roku, kiedy został nadleśniczym dużego nadleśnictwa w Kowalu, które później podzielono na mniejsze. Ożenił się w 1922 roku z Ireną z Koczorowskich i przeszedł do Jedwabnej. Ja urodziłem się w 1923 roku, mój brat Włodek w 1925 roku w Wydoniu. Gdy miałem iść do szkoły, ojciec przeniósł się do Łuby, został nadleśniczym Nadleśnictwa Włocławek. Zamieszkaliśmy w budynku w Łubie, który kiedyś był rezydencją barona Korfa. Dom był zniszczony, cały zagrzybiony. Ojciec zarządził kapitalny remont. W tej rezydencji zamieszkała cała nasza rodzina. Ojciec był tam nadleśniczym aż do wybuchu II wojny światowej w 1939 roku. Biuro nadleśnictwa było w drugim budynku, gdzie i dzisiaj jest siedziba Nadleśnictwa Włocławek.

U ojca pracowali leśnicy, których dobrze pamiętam: Felicjan Janicki, Ludwik Szymański, Senk, Władysław Honiek, Jan Erdman, Kudasiewicz, Jerzy Borawski, Wacław Błaut, czy Zbyszek Kasztel, który po wojnie był nadleśniczym, a później dyrektorem w zakładach przemysłu węglowego. Pracował też adiunkt Mieczysław Hodorowski, który był później dyrektorem Destylarni Żywicy w Garbatce. Nadleśniczymi w sąsiednich nadleśnictwach byli Stefan Trocki (Kowal) i Kazimierz Hartung (Koło).

Z ważniejszych wydarzeń okresu przedwojennego ojciec wspominał elektryfikację Łuby, którą przeprowadził we współpracy z naszym stryjem Czesławem,



Nadleśniczy Lech Babiński przy osadzie w Widoniu. Lata 20. XX w.



Irena Babińska – żona nadleśniczego  
Lecha Babińskiego. Rok 1920



Lech Babiński z rodziną przed osadą Widoń. Rok 1928

kierownikiem Starej Elektrowni we Włocławku. Ojciec kierował dużą akcją zwalczania strzygoni choinówki w Nadleśnictwie Jedwabna, a później – w latach trzydziestych XX wieku – plagi barczatki i brudnicy mniszki metodą odymiania świecami, opylania z samolotów, lepowania pni oraz metod naturalnych, na przykład sprowadzając takie owady drapieżne jak tęcznik liszkarz.

## WRZESIEŃ 1939

Na kilka dni przed wybuchem II wojny światowej, ojciec otrzymał polecenie stawienia się w Białowieży. Tam leśnicy mieli się zgrupować i utworzyć oddziały. Zdążyliśmy dojechać całą rodziną i z ekwipunkiem tylko do Nieborowa na Mazowszu, gdzie otoczyli nas Niemcy. Mieliśmy z nimi różne perypetie. Niemcy zabrali nasze konie, a w zamian dali dychawicznego ogiera, który choć okazały, to jednak poruszał się bardzo powoli. W tego ogiera wróciliśmy niebawem do Włocławka.

W listopadzie 1939 roku przyjechał do Włocławka Niemiec o nazwisku Fink obejmować nadleśnictwo w imieniu okupantów. Przyjechał do ojca i pytał, skąd zna tak dobrze niemiecki. Dogadali się, że mniej więcej w tym samym czasie kształcili się w Tharandcie. Jako kolega po fachu Oberforstmeister Fink doradził ojcu, by natychmiast, jeszcze tego samego dnia zabrał rodzinę i udał się do Warszawy, bo w nocy przyjdzie po niego gestapo. Niemcy mają w planie aresztowanie co najmniej jednej inteligencji we Włocławku. Zabraliśmy więc niezwłocznie najpotrzebniejsze



Przed osadą Łuba, rok 1937. Lech Babiński (siedzi w mundurze) i jego czterej bracia. Stoją leśniczy Władysław Honiek i dwaj synowie Lecha

rzeczy i przenieśliśmy się tymczasem do leśniczówki Falbanka, gdzie leśniczym był wychowanek naszego ojca, Stasiu Knop. Zamieszkaliśmy w Falbance. Ojciec był z nami jeszcze trzy dni, zanim, zagrożony aresztowaniem wyjechał do Warszawy. Mnie i mojego brata władze okupacyjne zamierzały skierować na roboty do Niemiec. Z miejsca zarejestrowaliśmy się jako robotnicy leśni i to tymczasem uchroniło nas przed wywózką. Jesienią i zimą zwoziliśmy koniem drewno z lasu, wiosną sadziliśmy las.

## WYSIEDLENIE

Latem 1940 roku Niemcy wysiedlili całą naszą rodzinę – babcię, mamę i brata ze mną – z Włocławka do Generalnej Guberni. Znaleźliśmy ojca, który już wcześniej spotkał kolegę jeszcze ze studiów w Tharandcie – Kazimierza Marszyckiego, a ten pomógł mu znaleźć pracę w leśnictwie pod Warszawą. Marszycki był nadleśniczym w Nadleśnictwie Łochów (Pomiechówek). Nasz ojciec mieszkał najpierw w Rybieniu pod Wyszkowem, później przeniósł się do Nadliwia i tam nas ściągnął. Najpierw pracował w Leśnictwie Fidest u leśniczego Władysława Końskiego jako kwitkowy, wydawał drewno z lasu. Szybko jednak został nadleśniczym w lasach pomajątkowych z siedzibą w Łochowie-Budziskach. W wyniku działań wojennych powstały tam duże zniszczenia w lasach, trzeba było sporo wycinać i sadzić. Ja i brat znaleźliśmy zatrudnienie najpierw w tartaku w Budziskach, którym zawiadywał Austriak Weinert, a za pół roku ja dostałem się do nadleśnictwa na stanowisko praktykanta leśnego.

## NA ROBOTY DO NIEMIEC

Pracowaliśmy w Łochowie do września 1943 roku, to jest do chwili aresztowania i wywózki na roboty do Niemiec. Brata wieźli innym transportem. Jemu udało się uciec z pociągu, ja trafiłem do obozu pracy w Stargardzie (Szczecińskim). Mieliby mnie przewieźć do zakładów przemysłowych w Politz (Policach), jednak w tym czasie Police zbombardowali alianci i nie było po co tam jechać. Zawieźli nas do Szczecina i jak po niewolników przychodzili po nas miejscowi Niemcy potrzebujący robotników do prac w gospodarstwie. Trafiłem na kilka miesięcy do firmy węglowej Brandenburg und Niedermayer w Szczecinie, do rozładunku, pakowania i rozwózki węgla. Dowiedziałem się z czasem, że obok jest nadleśnictwo, w którym potrzebuje ludzi do pracy. Przy pomocy jednego z kolegów napisałem list do regionalnego dyrektora leśnego w Szczecinie – nazywał się Kamlach – z prośbą o skierowanie do pracy w lesie, jako że jestem z rodziny leśnej i znam tę pracę. Udało się. Otrzymałem wezwanie do dyrekcji. Po rozmowie z urzędnikiem skierowano mnie do pracy w Leśnictwie Linken, Nadleśnictwo Falkenwalde. To było około 15 km od Szczecina. Do dzisiaj istnieje to leśnictwo w Niemczech, blisko granicy z Polską. Ówczesny, miejscowy leśniczy (Oberforstwarth) o nazwisku Kalkreuth, to był przyzwoity człowiek, nawet przyjął mnie śniadaniem. W jego lesie pracowało jeszcze siedmiu



Synowie nadleśniczego Babińskiego – Bohdan (z lewej) i Włodzimierz (z prawej). Jadów k. Łochowa, rok 1943

innych Polaków. Mieszkaliśmy w baraku. Cała nasza grupa ścinała drzewa i wyrabiała różne sortymenty. Mnie leśniczy kierował też do wyznaczania trzebieży i odbiórek drewna.

Tymczasem mój brat po ucieczce z transportu już po kilku dniach został zatrzymany przez niemieckich żandarmów i trafił do obozu karnego pod Inowrocławiem, a później do Greizera w Poznaniu (przed wojną polskie Zakłady Cegielskiego), gdzie pracował jako tokarz. Gdy Rosjanie w 1945 roku zbliżali się do Włocławka, brat próbował wrócić na własną rękę do rodzinnego domu. To się jednak nie udało, ich pociąg skierowano do Gdańska. Brat wiedział, gdzie ja pracuję i niezwłocznie wyruszył w kierunku Szczecina, żeby się ze mną spotkać. I to się udało, pewnego dnia znalazł mnie w lesie. Leśniczy zgodził się, żebyśmy pracowali razem. Stanowiliśmy zespół drwali, pracując jedną piłą.

### **SOWIECKIE „WYZWOLENIE”**

Pewnego poranka, w kwietniu 1945 roku, znikli okoliczni Niemcy. Zbliżał się front. Cały dzień słyszeliśmy wystrzały armatnie. Nadleciały rosyjskie samoloty. Machaliśmy im rękami z radością, gdy tymczasem oni zaczęli do nas strzelać. Pewnie byśmy nie przeżyli, ale na szczęście było blisko do cmentarza. Zdążyliśmy się schować za nagrobki. Później, zbudowaliśmy bunkier w lesie, w którym zamierzaliśmy przetrwać ten niebezpieczny czas. Po kilku dniach wkroczyli do wsi Rosjanie. I wtedy o mało nie pożegnałem się z życiem. Jeden z żołnierzy zażądał ode mnie zegarka.

Najpierw nie chciałem mu oddać, jednak gdy postawił mnie pod ścianą z zamiarem zastrzelenia, pospiesznie wręczyłem mu ten zegarek, który zresztą nie przedstawiał większej wartości. Po rosyjsku już nieźle mówiłem, gdyż mieliśmy kontakty z jeńcami rosyjskimi, którzy byli w obozach jenieckich w pobliżu Szczecina. Chwilę potem naszą polską grupę Rosjanie postanowili wykorzystać do rozpoznania stanowisk niemieckich. Pod groźbą rozstrzelania kazali nam biec przez łąkę w kierunku stanowisk karabinów niemieckich. Wydawało się, że to już po nas. Albo zastrzelą nas Niemcy z przodu, albo Rosjanie z tyłu. Uratował nas rów melioracyjny wykopany w połowie łąki. Pamiętałem o nim i gdy znaleźliśmy się w pobliżu skierowałem całą naszą grupę dnem tego rowu, aż poza pole ostrzału. Tylko jeden z naszych kolegów otrzymał postrzał w rękę. Uszliśmy z życiem. Ale to nie był koniec naszych spotkań z frontem rosyjsko-niemieckim. Po kilku kilometrach wędrówki drogą, wyszliśmy na większą enklawę – otwartą przestrzeń – pośród lasów. Gdy byliśmy w centrum dostaliśmy się pod ostrzał artyleryjski. To było prawdziwe piekło – wybuchy, ogień, dym, hałas. Widziałem w pewnym momencie, jak po wybuchu odrzuciło na kilka metrów mojego brata Włodka. Upadł do rowu przy szosie. Już myślałem, że nie żyje. Jednak i tym razem mieliśmy sporo szczęścia. Brat wyszedł bez szwanku. Schowaliśmy się w okopach, które były przygotowane przy drodze. Przeczekaliśmy ostrzał i nocą, przez las wróciliśmy do wsi, w której pracowaliśmy. Zatrzymaliśmy się w opuszczonej przez mieszkańców leśniczówce. W piwnicy były ubrania i zapasy żywności. Najedliśmy się, przebraliśmy i nazajutrz ruszyliśmy w drogę z zamiarem powrotu do domu, do Włocławka. To się jednak nie udało. Wkrótce, na przeprawie pontonowej na Odrze, w okolicach Gryfina zatrzymali nas rosyjscy żołnierze. Pod bronią zaprowadzili do stodoły, gdzie było już zgromadzonych z dwustu Polaków. Później Kozacy pognali nas do Szczecina.

## WIĘZIENIE W SZCZECINIE

To było pierwszego maja 1945 roku. Piękna pogoda, w Szczecinie kwitły drzewa owocowe. Zamknęli nas w miejskim więzieniu. Przy wyczytywaniu nazwisk i umieszczaniu w celach każdy świeżo upieczony więzień otrzymywał tęgie razy najhalką kozacką. Mnie też dosięgły ze trzy. Zamykali nas w małych pomieszczeniach o wymiarach 1 na 3 metry, po siedmiu. Nie było gdzie się położyć, ani siąść. Po 24 godzinach zaczęły się przesłuchania. Przesłuchiwał sam komendant. Ostre światło w oczy. Najpierw wmawiał mi, że jestem „german”, bo on widział mnie w mundurze. Później przyszedł drugi NKWD-zista, który też od razu stwierdził, że ja jestem „german” i przystawił mi broń do głowy. To już mnie zgniewało i odpowiedziałem „jeśli ja german, to ty toż german”. Nieoczekiwanie to podziało, uspokoił się. Ale zaraz zaczęli z drugiej beczki. „Jeśli ty nie german, to ty był a AK”. Koniecznie chcieli mieć pretekst do rozstrzelania. W końcu wyprowadzili mnie przed więzienie i puścili, częstując porządnym kopniakiem, wolno.



Nazajutrz spotkałem Zarembe, który był mianowany na prezydenta Szczecina. Zaproponował mi współpracę w organizacji administracji miasta. Po kilku dniach odnalazłem brata, który też wydostał się z więzienia NKWD. Współpracowaliśmy jakiś czas z prezydentem, a później z inżynierem Rusieckim, który kierował grupą leśników organizujących biura nowej Dyrekcji Lasów Państwowych.

### **OJCIEC W POWSTANIU WARSZAWSKIM**

Ojciec brał udział w Powstaniu Warszawskim. Później nigdy nie chciał o tym mówić. Z jednej strony były to bardzo tragiczne wspomnienia, z drugiej przyznawanie się do uczestnictwa w powstaniu w czasach Polski Ludowej, zwłaszcza zaraz po wojnie było niebezpieczne dla całej rodziny. W każdym razie wówczas, w 1944 roku, po upadku Powstania Warszawskiego Niemcy wzięli moich rodziców do obozu w Pruszkowie. Matkę mojego ojca, staruszkę rozstrzelali szaulisi – Litwini wysługujący się Niemcom przy pacyfikacji Powstania Warszawskiego. Gdy do Pruszkowa zbliżali się Rosjanie ojciec przekupił strażnika, uciekł z obozu i dzięki temu przeżył. Nadleśniczy Kazimierz Marszycki, po „wyzwoleniu” obozu dostał się w ręce NKWD, wywieźli go na Syberię. Słuch po nim na zawsze zagaśniał.

Ojciec dostał się najpierw do Skierniewic i tam zamieszkał u znajomego leśniczego. Gdy front minął Włocławek, w lutym 1945 roku dotarł do Włocławka. Dom był splądrowany, właściwie z wyposażenia nic nie zostało. Ojciec zajął się organizacją nadleśnictwa. Jednak przybyłe nowe władze leśne miały inne plany. Nie ukrywali, że w tych planach nie ma za wiele miejsca dla przedwojennego nadleśniczego. Oświadczone mu, że we Włocławku będzie Inspekcja LP. Jej szefem został Konwicki. Ojca przenieśli do Bobrownik i tam był w randze nadleśniczego do marca 1946 roku. Później i tam nie pasował nowym władzom. Zresztą po wizycie u nas pod Gorzowem postanowił, że nie będzie się przepychał z nową władzą, pojedzie na zachód, gdzie przyjmowali do pracy w lesie właściwie wszystkich chętnych. I tak został przeniesiony na ziemie zachodnie, a w aktach osobowych (zachowała się tylko okładka) napisano – przeniesiony do Gorzowa. Pracował w Nadleśnictwie Głusko blisko Dobiegniewa.

Ojciec ztracał się w robocie. Kochał las. Jednak był już człowiekiem starszym, miał mniej siły. Tam nawet do sklepu trzeba było dojeżdżać sześć kilometrów rowerem. Po kilku latach przeniósł się do Rejonu Lasów Państwowych w Drezdenku (DLP w Gorzowie Wlkp.), skąd przeszedł na emeryturę około 1960 roku, w wieku 75 lat. W lasach przepracował 57 lat. Gdy później ja przeniosłem się do Włocławka, dużo przebywał w naszym domu. Zmarł u mnie, w 1967 roku, w wieku 82 lat. Jest pochowany na cmentarzu we Włocławku-Michelinie. Tam również spoczywa jego żona (nasza mama) Irena.

## ZOSTALIŚMY LEŚNIKAMI

Po przejściu frontu, w kwietniu 1945 roku, i epizodzie współpracy z prezydentem Zarembą, Rosjanie usunęli nas ze Szczecina. Trafiliśmy z bratem do grupy operacyjnej organizującej się Dyrekcji LP w Poznaniu. Dyrektorem był Albert Górski, kolega naszego ojca jeszcze ze studiów w Tharandcie. Zajmowaliśmy się organizacją leśnictwa na terenach przejętych od Niemców. Dyrektor Górski polecił nam zabezpieczenie obiektów przemysłu drzewnego – fabryki sklejek i tartaków w Podjuchach i Gryficach. Jednak ze wszystkich tych obiektów zostaliśmy wyrzuceni przez wojsko, a maszyny i urządzenia wywieziono w nieznanym kierunku.

W międzyczasie odwiedziłem rodziców we Włocławku. Były tam ciężkie warunki do życia. Dom bez mebli, trudności z pracą, pieniędzy ojcu nie wypłacali, nie było środków na utrzymanie całej rodziny. Wróciłem do Poznania, zresztą o to prosił dyrektor Górski, proponując mi i bratu pracę. Wtedy przyjmowali tam kogokolwiek, nawet bez szkoły leśnej, bo brakowało rąk do pracy. Trafiliśmy do Gorzowa, gdzie organizowano nową zielonogórską dyrekcję Lasów Państwowych. Szef działu personalnego Próchnicki skierował nas do Nadleśnictwa Drezdenko, które prowadził nadleśniczy Głuchowski. Znał mojego ojca sprzed wojny. Trafiałem do ponemieckiej leśniczówki Busch Kamp, 12 kilometrów od Drezdenka. Gdy tam pojechałem pierwszy raz, zobaczyłem dwie sarny, które pasły się nieopodal osady. Nazwałem tę leśniczówkę – Sarnowo. I tak już pozostało, chyba do dziś. Mój brat podjął pracę w biurze nadleśnictwa Drezdenko Nowe, a później jako podleśniczy na terenie Nadleśnictwa Wołogoszcz.

W Leśnictwie Sarnowo byłem kilkanaście miesięcy, po czym przenieśli mnie na pięć lat do Leśnictwa Wilczyska. Wtedy sami urządzaliśmy miejscowe lasy i wykonaliśmy pierwsze plany urządzeniowe. Wilczyska to było duże leśnictwo, piękne drzewostany. Miałem sześciu stałych robotników. W tym czasie kończyłem Technikum Leśne w Goraju i Polskiej Woli koło Rzepina. Później przenieśli mnie do Leśnictwa Ustronie w Nadleśnictwie Karwin, po drugiej stronie Drezdenka. W leśniczówkach nie było światła, siedzieli przy karbidówkach i lampach naftowych. Woda w studni była na głębokości 30 metrów. W tej leśniczówce urzędowałem przez dwa i pół roku.

## MOJA ŻONA

Żonę Barbarę poznałem jeszcze w Sarnowie. Basia była tam nauczycielką i jednocześnie kierowniczką szkoły. Pochodziła z Sosnowca. Od początku wojny angażowała się w działalność niepodległościową. Najpierw w tajnej organizacji „Nasze Sprawy”, przekształconej później w Związek Orła Białego, który następnie wszedł w skład Armii Krajowej. Ojciec żony był żołnierzem września 1939 roku. Zginął, gdy samoloty niemieckie ostrzelały jego kolumnę.

Żona działała w konspiracji na Śląsku. W struktury organizacji dostał się agent. Wiosną 1941 roku gestapo aresztowało kilkaset osób, w tym moją przyszłą żonę i jej matkę. Umieścili je w Oświęcimiu, gdzie wkrótce matkę zamordowali. Żonę dowozili na przesłuchania na gestapo. Odbyla się sprawa sądowa, w której otrzymała wyrok śmierci. Po apelacji samych Niemców, ze względu na młody wiek, wyrok zamieniono na osiem lat ciężkiego więzienia. Wyrok odbywała w kilku miejscach. W obozie była królikiem doświadczalnym, w końcowej fazie wojny, w Fordonie koło Bydgoszczy. Niemiecy pseudomedycy odebrali jej na zawsze zdrowie. W marszu śmierci w styczniu 1945 roku udało się Basi uciec razem z koleżanką, przeżyła.

Po wojnie najpierw na krótko wróciła do Sosnowca, a później przeniosła się na ziemie zachodnie. Została nauczycielką i kierowniczką szkoły na wsi blisko Leśnictwa Sarnowo, gdzie pracowałem. Poznaliśmy się przy zalesieniach, w których uczestniczyły dzieci z jej szkoły. Przedstawiłem żonę rodzicom, akurat w roku 25-lecia ich małżeństwa. Rodzice już mieszkali wtedy na ziemiach zachodnich, w Nadleśnictwie Głusko. Ślub z Basią wzięliśmy w 1948 roku. W małżeństwie przeżyliśmy 58 lat. Żona zmarła w 2006 roku.

## **MÓJ BRAT**

Mój brat Włodek krótko po wojnie rzucił leśnictwo. W Gorzowie Wlkp. ukończył szkołę felczerską, myślał o medycynie. Pomógł mu szczęśliwy przypadek. Kiedyś poszedł na polowanie na kaczki. To było jego pasją. Nagle usłyszał krzyk na wodzie, zobaczył wywróconą łódkę i topiących się trzech chłopców. Zrzucił kurtkę, skoczył im na pomoc. Zdołał uratować wszystkich. Zbiegli się ludzie, chłopaków zabrali, wysuszyli. Między uratowanymi był syn jakiegoś sekretarza Komitetu Wojewódzkiego partii z Zielonej Góry. Ten, gdy poznał brata i jego zawodowe zamiary usilnie namawiał, by Włodek studiował medycynę. I tak się stało. Brat egzamin wstępny zdał celując, dostał się do Poznania na Akademię Medyczną, tam ją ukończył i ponieważ lubił dzieci, zrobił specjalizację jako pediatra. Pracował w Poznaniu, w Bydgoszczy, a na końcu w Gębicach koło Mogilna. Zmarł przedwcześnie na zawał serca w 60. roku życia.

## **MOJE 40 LAT I 10 MIESIĘCY**

Przed wojną zdążyłem ukończyć Kujawskie Gimnazjum Klasyczne we Włocławku, które dawało tzw. małą maturę. Dalszą edukację przerwała wojna. Już po wojnie, pracując w lasach gorzowskich, ukończyłem Technikum Leśne w Poraju i Polskiej Woli koło Rzepina. Leśniczym byłem do 1953 roku, później przenieśli mnie do Rejonu Lasów Państwowych W Gorzowie Wielkopolskim, gdzie zostałem brakarzem. Co roku uczestniczyłem w kursach brakarskich, które wtedy organizo-

wał inspektor Borodzik z ministerstwa. Gdy zdobyłem pierwszą klasę brakarską, sam prowadziłem kursy brakarskie. Później zostałem przeniesiony do Zarządu LP w Zielonej Górze, z siedzibą w Żarach, na stanowisko głównego brakarza. Żary obsługiwały wówczas 92 nadleśnictwa, a rozpiętość działania zarządu sięgała 300 km. Z Gorzowa do miejsca pracy w Żarach miałem 180 km, codziennie dojeżdżałem motocyklem. Nie było wtedy wolnych sobót, większość życia zajmowała praca i dojazdy. Miałem wówczas do dyspozycji 14 brakarzy. Pensja była licha, jak to wówczas w leśnictwie. Minister stale obiecywał – *chłopcy jeszcze rok, już widać zielone światło dla leśników*. A za rok było tak samo. Przybywało pracy biurowej. Ogromna ilość papierów. To mnie zniechęcało.

Odszedłem z Zarządu w teren. Tęskniłem za lasem. Ostatnie półtora roku, w latach 1962-1964, pracowałem jako brakarz w nadleśnictwach Krzystkowice-Bogaczów, Zielona Góra, Przytok, Żary, Ochla i kilku innych. Na własną prośbę w 1964 roku wróciłem w rodzinne strony, czyli do Włocławka.

Podjąłem pracę na terenie Okręgowego Zarządu LP w Toruniu na stanowiskach brakarskich kolejno w Nadleśnictwie Skępe (1964-68), w Zespole Składnic najpierw Włocławek, później Toruń. W latach 1969-74 byłem przedstawicielem Lasów Państwowych w Zakładach Celulozowo-Papierniczych we Włocławku. Celuloza przyjmowała transporty drewna z siedemnastu Okręgowych Zarządów LP z całego kraju. Zarabiało się niewiele. Dorabiałem rzeźbieniem w drewnie. Później, sporo tych rzeźb trafiło do muzeum folkloru, do skansenu, są też u moich znajomych. Na emeryturę przeszedłem po przepracowaniu 40 lat i 10 miesięcy, z początkiem 1982 roku.

Kiedyś pojechałem w zielonogórskie, tam gdzie dawniej pracowałem. Wszystko się zmieniło. W leśniczówkach mają wszelkie wygody. Las, który sadiłem urósł na 15-20 metrów wysokości. To już inny świat. Jeszcze kilka lat temu żyło wielu leśników, którzy zaczęli pracę przed wojną. Mieli zdjęcia, pamiętali kawał historii lasów kujawsko-pomorskich. W większości poumierali, żyją może nieliczni. Trochę pamiątek zostało u ich rodzin, wnuki może coś pamiętają z opowieści dziadków. To wszystko robimy za późno.

Wspomnienia Bogdana Babińskiego spisał: **Tadeusz Chrzanowski**

Włocławek, w czerwcu 2005 roku

Zdjęcia: archiwum rodzinne Bohdana Babińskiego

PS Bogdan Babiński, syn nadleśniczego Lecha Babińskiego, zmarł 22 maja 2015 roku w wieku 92 lat i został pochowany na cmentarzu we Włocławku-Michelinie.